Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 165 (Rok X, Nr 22) 1 grudnia 1950 Cena (Price) 1/6

PIERWSZY KROK

PRZED kilku tygodniami wyraziliśmy na tym miejscu przypuszczenie, że Sowiety zdołają przeciągnąć do lata wojnę w Korei kombinując walkę partyzancką z ograniczoną interwencją azjatycką. Sytuacja zdaje się obecnie potwierdzać to przypuszczenie. Najbardziej może interesujące jest staranne dozowanie interwencji sowieckiej w Korei. Lotnictwo sowieckie pojawia się sporadycznie w szczególnie krytycznych momentach. Chińczycy natomiast zdają się uprawiać sztukę jedyną w swoim rodzaju, której zapewne nawet Rosjanie nie umieliby w ten sposób stosować. Jeżeli czerwone Chiny grożą, to niezwykle grzecznie. Jeżeli posyłają wojska, to je zaraz wycofują, tylko po to, by je rzucić w innej postaci w inne miejsce. Nie odmawiają konferencji międzynarodowych, ale jadą na nie miesiącami. Swoje dywizje spokojnie nazywają ochotnikami i z góry zapowiadają, że więcej takich ochotników przejdzie w najbliższym czasie granicę. Gdy przeciwnik naciera w większej sile, Chińczycy wycofują się, w słaby punkt uderzają znienacka.

Wojska Narodów Zjednoczonych już właściwie pokonały północnych Koreańczyków. Ale mają przed sobą Chińczyków w nieokreślonej liczbie i o nieosiągalnych ze względów politycznych bazach po drugiej stronie granicy. Za sobą mają spore siły partyzanckie, zagrażające chwilami nawet to północnej, to południowej stolicy Korei. Widać wyraźnie, jak w tych warunkach krewcy i górujący zaopatrzeniem Amerykanie uderzają często w próżnię.

Najbardziej krępujący jest jednak czynnik polityczny. Jeżeli się nie uderzy na Mandżurię, to nie ma jak uporać się z wojskami chińskimi. Gen. MacArthur obiecał rodakom, że chłopcy wrócą na Boże Narodzenie do domu. Ale choćby nawet stali przed tą datą na całej granicy mandżurskiej i syberyjskiej, to jak mogą wrócić, kiedy przez tę granicę w każdej chwili wejść mogą miliony Chińczyków. Opinia amerykańskich rodzin domaga się akcji szybkiej i zwycięskiej przed świętami. Sojusz brytyjski domaga się ostrożności i nierozpoczynania wojny z Chinami.

Ostatnia ofensywa ku północnej granicy rozpoczęta została bez uprzedniego uzgodnienia z rządem brytyjskim. Co gorsza, trafiła w próżnię, bo Chińczycy porzucili swe umocnione pozycje, uciekli za granicę, a tymczasem uderzyli poważną siłą w zupełnie inny bardzo niebezpieczny punkt. Delegacja komunistów chińskich przybyła tymczasem wreszcie do Nowego Jorku, by rozmawiać z ONZ. Koncepcja angielska polega na tym, by wytrącić bolszewikom z rąk broń chińską przez ułożenie się z czerwonymi Chinami. Za cenę pokoju na Dalekim Wschodzie Chiny komunistyczne byłyby przyjęte do ONZ w miejsce Chin nacjonalistycznych. Czy polityka taka ma przed sobą jakiekolwiek widoki wydaje się wątpliwe. Chiny komunistyczne miejsce w Radzie Bezpieczeństwa przyjmą a interwencji w Korei nie zaniechają. Tak zdają się oceniać sytuację i Amerykanie. Nie wierząc w możliwość porozumienia się z komunistami chińskimi, nie chcą oni jednakże dać się wciągnąć w nieskończoną wojnę w Mandżurii czy Chinach. Toteż ich nadzieje idą w innym kierunku.

Kierunek ten wskazuje ostatnia wymiana not z Sowietami w sprawie pokoju z Japonią. Nota Achesona do Sowietów, ogłoszona przez Tassa nie zdementowana przez Waszyngton, przedstawia wyraźny plan amerykański, nie liczący się właściwie z Rosją. Sens propozycji amerykańskich pod adresem Japonii jest ten, że Japonia nie odzyska Korei ani niektórych strategicznie ważnych wysepek na Pacyfiku, natomiast Ameryka przyzna jej prawo do tego, co oddała sama w Teheranie i Jałcie Sowietom, to jest do Wysp Kurylskich, Południowego Sachalinu i może Portu Arthura. Charakterystyczne jest, że propozycja Achesona robi nadzieje Japonii na odzyskanie Formozy, będącej obecnie we władaniu Czlań Kaj Szieka. Innymi słowy Ameryka zdaje się wyraźnie wskazywać Japonii, że może liczyć na wiele jeżeli pójdzie przeciw Rosji. Siła Japonii może być odtworzona pod warunkiem, że jej ekspansja skieruje się nie jak w ostatniej wojnie na południe i południowy-zachód lecz na północny-zachód. Japonia, trzeba o tym pamiętać, jest zdolna mimo niedawnej klęski wystawić szybko wielkie i znakomite wojsko. Japonia nie jest jak Niemcy podzielona między Zachód i Wschód, Japończycy nie są psychicznie załamani tak jak Niemcy, żaden sąsiad Japonii nie jest sojusznikiem koniecznym dla Stanów w ewentualnej przyszłej wojnie jak sąsiad Niemiec Francja. Odbudowa siły wojskowej japońskiej jest jedynym dla Stanów Zjednoczonych wyjściem z sytuacji na Dalekim Wschodzie. W pewnej mierze wetuje ona stratę spowodowaną podbojem Chin przez komunistów. G. I's będą mogli wrócić do domu, jeśli na ich miejsce przyjdą żółci chłopcy.

Oczywiście nie można tego dokonać z miesiąca na miesiąc. Remilitaryzacja Japonii wymaga więcej czasu. Dlatego zapewne nota Achesona ma przede wszystkim charaktek pogróżki wobec Sowietów. Pogróżka jest poważna. Wprawdzie dla Sowietów uzbrojenie Japonii nie jest takim bez-

pośrednim zagrożeniem jak byłoby uzbrojenie Niemiec, ale może w każdym razie pokrzyżować poważnie plany sowieckie we wschodniej Azji. Jak na tę groźbę zareagują Sowiety?

Ostatnia kontrofensywa chińska w Korei może być manewrem lokalnym, opóźniającym pochód wojsk Narodów Zjednoczonych ku granicy Mandżurii i Władywostoku, ale może mieć i dalsze cele. Jeżeli Sowiety skłonią Chińczyków do głębszego zaangażowania się w wojnę koreańską, to niewątpliwie z tym zamiarem, by związać Amerykanów na Dalekim Wschodzie przynajmniej do wiosny. A potem?

Dla nas inicjatywa amerykańska w sprawie pokoju z Japonią jest z jednego punktu widzenia szczególnie interesująca. Jest to mianowicie pierwszy w polityce mocarstw zachodnich wyraźny wyłom w zasadzie trzymania się Jałty. Roosevelt oddał Wyspy Kurylskie, Południowy Sachalin i Port Arthur Sowietom. Początkowo nie ogłoszono tego i opinia amerykańska dowiedziała się o tym ze znacznym opóźnieniem. Wiadomość o zgodzie na zajęcie przez Sowiety Wysp Kurylskich wywołała pierwszą większą falę oburzenia na pakty jałtańskie w Ameryce. Kuryle leżą między Archipelagiem Japońskim a Kamczatką i stykają się z innym łańcuchem wysp: Aleuckich, półkolisto biegnących od Kamczatki po Alaskę. Dopuszczenie Rosji pod próg niejako Ameryki Północnej uznano w opinii amerykańskiej za rzecz bardzo niebezpieczną. Był to więc najbardziej krytykowany punkt porozumienia z Sowietami. Wyspy Kurylskie miały być ceną za wzięcie przez Sowiety udziału w wojnie z Japonią. Nie byłoby zatem nic dziwnego, gdyby tę samą cenę chciano zapłacić Japończykom za odwrotną operację. Wyszyński w swej odpowiedzi nie miał żadnej trudności w wykazaniu, że propozycje amerykańskie są sprzeczne z układami w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Oczywiście i Acheson wie o tym świetnie. Jeśli je mimo to wysunął, widocznie uważa, że nadszedł już czas, kiedy można nie krępować się w stosunku do Sowietów tymi układami. Jest to krok jeszcze raczej teoretyczny i odnoszący się do Dalekiego Wschodu nie do Europy, tym niemniej ważny, jako pierwsza wskazówka i pierwsze odstępstwo od stale dotąd powtarzanej zasady, że Ameryka nie chce nic więcej, jak tylko dotrzymania przez Sowiety układów jałtańskich.

KŁOPOT Z NIEMCAMI I NIE TYLKO Z NIEMCAMI

Jak się okazuje najmniejszymi entuzjastami remilitaryzacji Niemiec są sami Niemcy. Ostatnie wybory do sejmów krajowych w zachodnich Niemczech przyniosły duże sukcesy socjalistom, którzy prowadzili kampanię wyborczą pod hasłem sprzeciwienia się remilitaryzacji. Wywołało to niezadowolenie w Waszyngtonie i Londynie. Profesor amerykański przeprowadził wśród młodzieży niemieckiej wielką ankietę, której poświęcił kilka miesięcy czasu. Z ankiety tej wynika, że niezwykle mało jest chętnych do służby w ewentualnym wojsku niemieckim, a więcej jest gotowych służyć ochotniczo w armii europejskiej, w której wszystkie narodowości miałyby równe prawa.

Niechęć do remilitaryzacji ze strony Niemców wyraża się także w niepowodzeniu akcji rozbudowy policji niemieckiej. Według planów policja ta miała liczyć już w najbliższym czasie 30 tysięcy ludzi. Tymczasem poszczególne kraje Niemiec zachodnich zaczęły się wycofywać z układów z rządem federalnym w sprawie policji i w rezultacie obecnie liczyć można jedynie na powstanie korpusu policyjnego o sile 10 tysięcy ludzi.

Niechęć Niemców do remilitaryzacji i opór francuski przeciwko odtworzeniu wielkich jednostek armii niemieckiej odbiły się nieprzyjemnym echem w Waszyngtonie. Wpłynęły one też na wzmocnienie nastrojów republikańskich w Ameryce, których wyrazem było powodzenie kandydatów republikańskich w ubiegłych wyborach do Izby Reprezentantów. Mimo, że republikanie nie zdobyli większości, są oni w nowym Kongresie zdolni udaremnić plany polityczne demokratycznej administracji Trumana. Republikanie tym się w dziedzinie polityki zagranicznej różnią od demokratów, że większą od nich przywiązują wagę do spraw azjatyckich a mniejszą do europejskich. Stąd też przewidywane jest osłabienie pomocy amerykańskiej dla Europy zachodniej w nadchodzącym roku.

Na tym tle bardzo interesująco wygląda próba gospodarczego usamodzielnienia się Anglii od Ameryki. Rząd brytyjski, korzystając z dobrej koniunktury na surowce z krajów Wspólnoty brytyjskiej, przeciwstawił się amerykańskim planom złagodzenia swej polityki obrony przed dolarem i zdecydowany jest zrezygnować z dalszej pomocy w ramach planu Marshalla na przyszłość, szukając rekompensaty w ściślejszej współpracy wewnątrz Commonwealthu. Temu celowi zapewne służyć będzie m. in. zjazd premierów krajów Wspólnoty, jaki niedługo ma się odbyć w Londynie.

Ta zmiana polityki brytyjskiej wywołała starcie z Francją, która zagroziła wypowiedzeniem umów gospodarczych ułatwiających wymianę między krajami bloku atlantyckiego. W tej sprawie przylecieli do Londynu francuscy ministrowie skarbu i handlu.

DOKTÓR Z MOSKWY

W Sowietach komuniści najbardziej boją się NKWD. Komuniści zachodni obecnie zaczynają najbardziej bać się... lekarzy. Jest coś z orwellowskiej ponurej fantazji w roli, jaką odgrywają przysyłani z Moskwy lekarze do chorych komunistów poza Sowietami. Nie tak dawno temu bułgarski Dimitrow, wielki bohater komunistyczny, który okazał się zbyt samodzielny i propagować zaczął federację bałkańską, pojechał na kurację do Rosji i już stamtąd nie wrócił. Nieco później stary komunista polski Modzelewski, zaczął na stanowisku „ministra spraw zagranicznych" Polski wykazywać zbyt wiele samodzielności w stosunku do przystawionych do MSZ kontrolerów z Moskwy. Zachorował na serce, troskliwy Stalin przysłał mu własnego lekarza. Dziś jest tak chory, że nie opuszcza swego mieszkania.

W zachodniej Europie partia komunistyczna miała dwa nazwiska wybitnych przywódców, a mianowicie Thoreza we Francji i Togliattiego we Włoszech. W lecie przed partią komunistyczną Francji stanęła sprawa generalnej czystki. Na rozkaz Moskwy czystkę tę miał przeprowadzać jeden z najstarszych komunistów francuskich, Marty. Jednakże inicjatywę wydarł z jego rąk główny przywódca partii, Thorez. Na jesieni Thorez nagle ciężko zaniemógł. Stalin przysłał mu samolotem lekarza z dwoma asystentami. W rezultacie Thoreza wraz z żoną zabrano samolotem do Rosji. Niewiele po Thorezie zachorował Togliatti. Leży on w stanie krytycznym chory w Rzymie. Tymczasem w partii komunistycznej Włoch odbywa się reorganizacja i usuwanie pozostałości po Togliattim, który był starym i zasłużonym komunistą, ale zdradzał pewne objawy włoskiego patriotyzmu. Jak dotąd nie było jeszcze wiadomości o przysłaniu mu lekarza z Kremla, nie byłoby jednak w takiej wiadomości nic niespodziewanego.

NAJWAŻNIEJSZA JEST JEDNOŚĆ

Życie polityczne polskie w nienormalnych warunkach emigracyjnych ma zrozumiałe tendencje do wypaczeń i wyrodnienia. Duży wysiłek ludzi z poczuciem odpowiedzialności musi zmierzać do utrzymywania tego życia w granicach rozsądnych i do zwalczania tendencji rozkładowych wszelkiego rodzaju.

Niektórzy ludzie najgłośniej występujący w obronie autorytetu i ciągłości państwowej równocześnie, rzekomo w obronie form legalnych, szerzą szkodliwą anarchię. Typowym przykładem takich anarchistycznych tendencji jest atakowanie z różnych stron samej instytucji organizacji politycznych jawnych i znanych. Co

za wartość może mieć utrzymanie czysto formalnej ciągłości prawnej naczelnych instytucji państwowych, ograniczonej do drobnej grupy ludzi, jeśli wisieć ono będzie w próżni, jeśli nie będzie się opierać na zachowaniu ciągłości polskiego myślenia politycznego i polskich form organizacyjnych życia zbiorowego. Tymczasem lansowanym przez wszystkich publicystów sanacyjnych sloganem jest, że stanowisko głównych stronnictw polskich nie ma znaczenia, ponieważ stronnictw jest w tej chwili na emigracji kilkanaście. Podmurowaniu tej anarchicznej tezy służyły konferencje prezydenta w czasie ostatniego przesilenia, który — jak król z ewangelii — wysłał sługi na rozstaje dróg i spraszał wszystkich na konsultacje, nie bacząc czy reprezentują bodaj kilka osób. Ostatnio tę tezę rozwija na łamach „Kultury" p. Juliusz Mieroszewski. Pisze on w jednym miejscu, że „za nowym rządem (w razie kapitulacji prezydenta) byłyby trzy stronnictwa Rady Politycznej, a w opozycji znalazłoby się 6 czy 7 ugrupowań politycznych, z których większość nie uznałaby tak powołanego rządu za legalny i zgodny z konstytucją". Nieco zaś dalej wysuwa tezę, że „jeżeli jednak w danym ustroju jest kilkanaście partii politycznych, nie wszystkie muszą popierać rząd", po czym spokojnie wywodzi, że w Anglii czy Ameryce rządzi przecież tylko jedna partia. Takie świadome sprowadzanie do absurdu pojęcia stronnictw politycznych i mieszanie drobnych kliczek emigracyjnych z historycznymi ruchami zmierza do pogłębiania rozkładu i wywołania chaosu pojęć.

Na równie skrajnym, choć zupełnie przeciwnym stanowisku staje redakcja sztokholmskich „Wiadomości Polskich". Wprowadza ona zamęt w pojęciu ciągłości prawnej państwa, pisząc: „sanacja opiera swój rzekomy legalizm na sztucznie skonstruowanej tezie konstytucyjnej i nie byłoby większych trudności ze skonstruowaniem innej, znacznie słuszniejszej tezy. Nikt zaprzeczyć nie może, że mieliśmy w okresie wojny parlament podziemny, który swymi deklaracjami przeszedł ponad konstytucją sanacyjną, polecił jej autorów postawić przed trybunałem stanu i stworzył nowe podstawy struktury państwa". Nie należy zapominać, że polskie państwo podziemne w kraju w okresie okupacji podporządkowane było rządowi emigracyjnemu, reprezentującemu ciągłość prawną państwa w oparciu o przepisy praktycznie choć nie formalnie zmodyfikowanej konstytucji kwietniowej. Parlament podziemny stał na stanowisku ciągłości konstytucyjnej zastrzegając zmianę konstytucji po uwolnieniu kraju. Nie można wybierać sobie jednego fragmentu ustroju na pewnym wycinku czasu i przeciwstawiać go innemu nazywając to ciągłością prawną. Przeciwstawianie ciągłości prawnej zaczynającej się od Rady Jedności Narodowej, ciągłości prawnej wyrażonej w przekazaniu władzy prezydentowi Raczkiewiczowi jest także sprowadzaniem rzeczy do absurdu.

Istota sprawy polega na tym, że dla Polski potrzebne jest, aby wszystkie działania polityczne polskie w wolnym świecie były skoordynowane i aby obcy mieli do czynienia z jednym ośrodkiem polskim, a nie z wieloma. Inaczej mówiąc istotna jest najbardziej jedność. Legalizm, reprezentujący jeden odłam polityków emigracyjnych a nie oparty o główne kierunki polityczne jest dla sprawy polskiej pozbawiony wartości bez względu na to w jakim stopniu jest autentyczny. Cel, do którego powinno się dążyć to jedność narodowa, dysponująca legalizmem. Uznawanie z jednej strony, że się reprezentuje ruchy polityczne, gdy się reprezentuje tylko małe kliczki, z drugiej zaś, że się reprezentuje ciągłość prawną państwa na zasadzie legendy Polski podziemnej jest niepoważne i nie pomoże sprawie polskiej. Powtarzamy: najważniejsza jest jedność, a legalizm ma wartość jako jej narzędzie.

POLONIA AMERYKAŃSKA ZA JEDNOŚCIĄ EMIGRACJI

Obradująca w Waszyngtonie Rada Naczelna Kongresu Polonii amerykańskiej powzięła następującą rezolucję w sprawie rozbicia politycznego emigracji:

Zjazd Rady Kongresu Polonii amerykańskiej uważa za swój obowiązek zaapelować jak najgoręcej do wszystkich polskich czynników politycznych na emigracji — by jak najszybciej dokonały rzetelnego zjednoczenia wszystkich sił niepodległościowych do wielkich zadań w służbie uwolnienia Polski. Stwierdzamy, że przedłużanie się dalsze kryzysu politycznego emigracji osłabia w wielkim stopniu powagę sprawy polskiej na terenie międzynarodowym, podrywając jednocześnie postawę i zaufanie kraju, który nie znajduje w emigracji należytego narzędzia walki wyzwoleńczej.

W tym celu uważamy za rzecz nieodzowną dokonać zjednoczenia na zasadach zdemokratyzowanego legalizmu opartego o ciągłość konstytucyjną państwa polskiego, z wykluczeniem niekontrolowanych rządów jednostkowych. Zjednoczenie to dokonane być powinno w oparciu o główne stronnictwa polityczne.

Pragniemy, by wyzwolony z niewoli komunistycznej, suwerenny naród polski sam wybrał sobie przywódców i sam określił swoje programy polityczne.

Łączyć się będziemy z tymi, którzy w zgodnym szeregu, razem z nami, walczyć będą o triumf wolności i demokracji.

Przypominamy, że stanowisko nasze w stosunku do władz Rzeczypospolitej Polskiej pozostaje niezmienione, w następujących słowach:

Polonia amerykańska nie uznaje i nigdy nie uzna reżimu warszawskiego; uznaje natomiast urząd Prezydenta Rzeczypospolitej w Londynie, jako że symbolizuje nieprzerwaną ciągłość konstytucyjnej władzy i nieprzerwane istnienie Rzeczypospolitej, reprezentującej ziemie i duszę narodu polskiego.

To jest nasza zasada! To są nasze cele!

JACZEJKA RZĄDZI SZKOŁĄ

Kto chce sobie zdać sprawę z tego jak wygląda obecnie szkoła dla młodzieży polskiej w kraju (trudno powiedzieć: szkoła polska), nie może poprzestać jedynie na przeglądzie programów i podręczników — te ostatnie zresztą z bieżącym rokiem szkolnym zaczęto rusyfikować i książki polskie zastępować tłumaczonymi z rosyjskiego. Trzeba sobie bowiem zdawać sprawę, że czynnikiem decydującym w szkole polskiej przestaje być nauczyciel a staje się delegat partyjny i organizacja młodzieży komunistycznej.

Organizacja ta — Związek Młodzieży Polskiej — jest już w tej chwili monopoliczna. W r. ub. zakazano młodzieży szkolnej należeć do jakiejkolwiek organizacji religijnej, jak np. do Sodalicji Mariańskiej, Krucjaty Dziecięcej itp. Organizacja ZMP jest w gruncie rzeczy ściśle hierarchiczna i stanowi organ wykonawczy partii komunistycznej (PZPR) dla młodzieży. W każdej szkole istnieje jaczejka. Przynależność do ZMP jest przymusowa dla tego kogo zechcą wziąć. Jaczejka ZMP ma prawo stawiania żądań ciału nauczycielskiemu, krytykuje ona nauczycieli i donosi na nich do władz partyjnych.

Uczeń, którego usuną z organizacji ZMP, usuwany jest automatycznie ze szkoły. Wywołało to nawet zastrzeżenia samych komunistów i niejaki Józef Kowalczyk, „Kierownik Wydziału Oświaty Komitetu Centralnego PZPR" wystąpił w „Trybunie Ludu" przeciwko automatycznemu wydalaniu ze szkoły uczniów usuniętych ze szkolnego ZMP. Określa on wyraźnie kiedy wydalenie ze szkoły powinno nastąpić: „Jeśli wydala się członka z organizacji szkolnej ZMP, powiedzmy za to, że jest podejrzany o branie udziału w jakimś wrogim ugrupowaniu, lub za to, że uprawia reakcyjną propagandę, ...to wtedy usunięcie go również z murów szkolnych pomoże szkole w realizowaniu jej zadań wychowawczych".

ZMP przesądza w praktyce o tym, który uczeń ma się dalej kształcić, kto będzie przyjęty na wyższą uczelnię, kto skierowany do szkoły technicznej, a kto wyrzucony na ulicę. Na tym tle rośnie w Polsce ogromna krzywda społeczna. Dziesiątki tysięcy młodzieży, i to przeważnie najwartościowszej pod względem charakteru i umysłu, pozbawionych jest możności kształcenia się dlatego, że nie są oportunistami, że nie są podatni na propagandę komunistyczną, że pochodzą z rodzin katolickich, że są synami inteligentów lub po prostu, że swoimi zdolnościami budzą zawiść

swoich rówieśników agentów partii i policji. Powstaje problem, nad którym także i tu na emigracji należy się poważnie zastanowić.

Po wyzwoleniu Polski spod okupacji sowieckiej będziemy mieli do czynienia z jednej strony z pozbawioną charakteru i prawdziwej wiedzy pseudointeligencją typu sowieckiego, z drugiej zaś z masą zdolnych, młodych ludzi pozbawionych formalnego wykształcenia.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

LISTY O LUDZIACH 10)

ADAM I PITHECANTHROPUS

Bibliopolis, listopad 50

Drogi Czytelniku,

Ze szkolnych lat zostało Ci zapewne przekonanie, że człowiek pochodzi, przynajmniej pod względem fizycznym, od małpy i że to odkrył Darwin. Może jeszcze poza tym zostało Ci wrażenie, że szukają jakiegoś „brakującego ogniwa" między małpą i człowiekiem a może nawet obiło Ci się o uszy, że coś wykopali w Chinach i na Jawie. Jeżeli takie są Twoje wrażenia i przekonania, postaraj się o nich szybko zapomnieć. Wielki popularyzator teorii ewolucji w biologii, Darwin, który nawiasem mówiąc odegrał w rozwoju umysłowości dziewiętnastowiecznej równie doniosłą i pustoszącą rolę jak Marks, wielki popularyzator materializmu w naukach społecznych, ówże Darwin wcale nie twierdził, że człowiek pochodzi od małpy, tylko, że człowiek i małpa mieli wspólnego przodka. Paleontologowie współcześni wcale nie twierdzą, że im brakuje jakiegoś ogniwa, przyznają natomiast, że brakuje im mnóstwa elementów rozmaitego rodzaju. Od czasu wykopalisk pod Pekinem i na Jawie wydobyto z ziemi tyle nowych szczątków ludzkich i zwierzęcych i nauka tak poszła naprzód pod względem materiału (bo nie zawsze pod względem rozwoju umysłowego badaczy), że co przed dwudziestu laty uchodziło za ustalone, dziś wygląda zupełnie inaczej, a co było przedmiotem domysłów, jest przedmiotem laboratoryjnych badań.

Od czego by tu zacząć? Chyba odwołam się jeszcze raz do Twojej pamięci człowieka wychowanego w epoce pozytywizmu i zapytam, czy pamiętasz „człowieka neandertalskiego". Miał to być nasz przodek, bliższy człowieka niż małpy ale w każdym razie pośredni między człowiekiem i małpą. Tego Neandertalczyka spotkałem w życiu trzy razy. Pierwszy raz w dzieciństwie w popularyzacyjnej książce niemieckiej z lat dziewięćsetnych. Z czaszki o cofniętym czole wyrastały mu długie zmierzwione włosy, spod olbrzymich wysuniętych do przodu brwi błyskały malutkie oczki, kły wysuwały się z pomiędzy warg, rzadka broda zwisała z dolnej szczęki. Drugi raz spotkałem go w ćwierć wieku później w angielskim podręczniku antropologii. Był do siebie zupełnie niepodobny. Z bark do przodu wystawała pochyła niezmiernie gruba szyja a na jej końcu bezwłosa głowa z olbrzymią w stosunku do czaszki twarzą, w której nawet nos był muskularny. Było to bardzo przerażające. Na szczęście spotkałem go znowu niedawno, w pewnej bardzo nowoczesnej książce amerykańskiej. Autor, w celach dydaktycznych, ubrał go współcześnie. Zaopatrzony w kołnierzyk i kapelusz, Neandertalczyk wyglądał na zwykłego gangstera z filmu. Prawda, broda trochę cofnięta, oczy schowane pod czołem, ale duże i wypukłe, nos normalny... Wobec tego zacząłem oglądać fotografie czaszek neandertalskich. Na jednej z nich „zbudowałem" piórem rysy twarzy i uwłosienie współczesnego Australijczyka. Pasowało jak ulał. Tubylcy sami nie poznaliby, że to nie z ich szczepu. Musieliby wołać antropologa, żeby im wyjaśnił różnice. Nie piszę o tym, by Ci zasugerować, że zrobiłem jakieś odkrycie, albo że mój model jest najbliższy prawdy. Chcę Ci tylko uzmysłowić, jak wiele we wczesnej antropologii było fantazji i jak trudno sądzić po pozorach. Przecież, powiedzmy, Ty i ja możemy mieć bardzo podobne czaszki a zupełnie inne rysy, budowę ciała, temperament, kolor skóry. Więc co dziś naprawdę wiadomo o Neandertalczykach?

Wiadomo tyle: ludzie współcześni mają najrozmaitsze typy czaszek, a poszczególne rasy (Murzyni, Australijczycy, żółci, biali) mają czaszki dość od siebie różne. Tym niemniej czaszki neandertalskie mają pewne cechy różne od tego, co jest wspólne wszystkim ludziom współczesnym. Po pierwsze nie mają tego wystąpienia kości na dolnej szczęce, które nazywamy brodą. Nie znaczy to, że mają brodę cofniętą, ich dolna szczęka może być wysunięta do przodu, ale nie mają tego występu poniżej zębów, który u niektórych ras współczesnych jest bardzo słaby, ale zawsze jest. Po drugie ich czoło tworzy nad oczami jakby daszek, podobnie jak to jest u małp. Wprawdzie Australijczycy np. mają też coś podobnego, ale u nich jak u wszystkich współczesnych ludzi występ ten spłaszcza się nad nosem a u Neandertalczyków nos jest bardzo zapadnięty u nasady. Po trzecie Neandertalczycy mają innego kształtu otwór kostny nad bębenkiem niż ludzie współcześni, ale jest to kształt jeszcze bardziej odmienny od odpowiedniej kości małpiej. Wreszcie otwór, przez który kręgosłup wchodzi do czaszki (wybacz takie potwornie laickie określenia, ale boję się, żeś zapomniał już anatomii) jest u Neandertalczyków mniej okrągły niż u współczesnych ludzi a bardziej owalny. Z tego niektórzy uczeni wyprowadzali wniosek, że głowa ich nie wznosiła się pionowo z ramion jak u nas, lecz nosili ją pochyło ku przodowi. Ta sprawa jest jednak co najmniej sporna a zachowanych czaszek o owalnym wykroju otworu zbyt mało, by można było coś wnioskować naprawdę. Wdałem się w szczegóły, ale bez tych nudnych szczegółów nie mógłbym Ci usiłować wytłumaczyć, na czym opiera się pogląd, że Neandertalczycy nie byli jeszcze jedną wymarłą rasą ludzką, lecz czymś odrębnym od wszystkich ras istniejących. Mówiąc obrazowo, Neandertalczyk mógł być znacznie podobniejszy do współczesnego Australijczyka niż Australijczyk do Ciebie, to jednak z punktu widzenia anatomicznego różnice między Tobą a Australijczykiem mogą być uznane przez uczonych za mniejsze niż między Australijczykiem a Neandertalczykiem.

W ostatnim dwudziestoleciu dowiedzieliśmy się o Neandertalczykach nie byle jakich rewelacji. Po pierwsze okazuje się, że wcale nie są „starsi" od nas „współczesnych"', że żyli równocześnie z ludźmi o takich czaszkach i szkieletach jak my. Następnie okazuje się, że Neandertalczycy byli dosyć rozmaici. I co ciekawsze, wcześniejsi z nich byli mniej „neandertalscy", bardziej podobni do nas, niż późniejsi. Niektórzy przypuszczają, że rasa ta „wyspecjalizowała się" w ciężkich warunkach epoki lodowcowej. Z faktu, że Neandertalczycy żyli współcześnie z nie-Neandertalczykami, Zuckermann wyprowadził tezę, że były dwa gatunki pierwotnego człowieka. Tezę tę bardzo rozwijała nauka brytyjska, i do niedawna, niemal do wczoraj, była ona obowiązująca w nauce anglosaskiej. I dziś jeszcze znajdziesz ją w prawie wszystkich „textbookach". Teza ta urobiona jest na przesądzie, któremu dał wyraz w ubiegłym stuleciu pewien biolog francuski, wołając z właściwą swojej epoce przemądrzałością: „Ludzie współcześni są bardzo różni, jak różne są psy, Neandertalczycy są wszyscy jednakowi, jak jednakowe są wilki". Okazało się, że Neandertalczycy nie są jednakowi jak wilki, ale różni, przesąd jednak podtrzymywał tezę o pochodzeniu człowieka od różnych gatunków. Tymczasem ostatnio fakty mocno tę teorię podkopały. Najpierw na Morawach znaleziono tzw. „łowców mamutów", którzy są w zasadzie typu „współczesnego", ale mają wyraźne cechy neandertalskie. Następnie zaś w Palestynie odkryto groty świadczące swymi wykopaliskami, że Neandertalczycy i „współcześni" nie tylko żyli obok siebie, ale żyli z sobą i było mieszane potomstwo. Otóż istnieje właściwie tylko jedno obiektywne kryterium gatunku, a mianowicie płodność. Wszystkie rasy ludzkie stanowią jeden gatunek, bo ludzie wszystkich ras w jednakowym stopniu są między sobą płodni. W Afryce zdarza się, że goryle porywa-

ją czarne kobiety, nie ma jednak mieszańców goryla z człowiekiem. Cóż więc pozostaje z tezy, że Neandertalczycy byli osobnym gatunkiem? Brak występu na dolnej szczęce i zaklęśnięcia czoła nad nosem, to jeszcze mało, zwłaszcza gdy cechy te występują w różnym stopniu.

Wszystko to jednak wydaje mi się nieważne wobec odkrycia najważniejszego, przypieczętowanego ostatecznie wykopaliskami dokonanymi w czasie wojny na Monte Circeo. Mianowicie Neandertalczycy mieli kult zmarłych, rytuał pogrzebowy, a niektóre ich zwyczaje grzebalne podobne były do spotykanych u ludów dzikich do dziś dnia. Ciała zmarłych grodzili od złych duchów kośćmi i rogami zwierząt, czaszek używali jako naczyń rytualnych. W dodatku nie można tych Neandertalczyków połączyć nawet z jakąś jedną „kulturą" narzędzi z łupanego kamienia, spory nie doprowadziły dotąd do niczego i wygląda, że używali oni narzędzi różnych „kultur" po społu z „współczesnymi" ludźmi. Ci współcześni, jak twierdzą wszyscy uczeni nie byli jeszcze zróżnicowani na rasy, jakie znamy dziś, nie byli ani „biali", ani „żółci" ani „czarni". Rozłupanego krzemienia może użyć małpa a narzędzia pewnego rodzaju, nawet „bydło", mają niektóre zwierzęta, choćby owady. Ale o życiu pozagrobowym myśli tylko człowiek. Nie ma żadnej wątpliwości, że Neandertalczyk był człowiekiem i odmawianie mu tytułu „homo sapiens" jest tylko dowodem obskurantyzmu. Podobny obskurantyzm stał się przed kilkudziesięciu laty powodem zniszczenia niezwykle ciekawych ludzkich wykopalisk. Ponieważ skamieniałe szkielety były wyraźnie pogrzebane uczeni angielscy uznali, że nie mogą być stare i że w dany pokład ziemi dostały się przypadkiem, po czym wyrzucili je. Gdyby nie to, wiedzielibyśmy może trochę więcej o najdawniejszych ludziach.

Neandertalczyk był człowiekiem, a co było przedtem? Skoro użyliśmy słowa „przedtem" a więc pojęcia czasowego, muszę zrobić dwa zastrzeżenia. Po pierwsze zapomnij o naszej mierze czasu, latach i stuleciach. Czas geologiczny jest tak innego wymiaru, że sto tysięcy lat nie stanowi w nim wiele. Stąd wszelkie „przedtem" i „potem" dotyczące stworu tak stosunkowo nowego jak człowiek są hipotetyczne i często kwestionowane. Drugie zastrzeżenie wypływa trochę z pierwszego. Kiedy ludzie studiujący ewolucję mają trudności ze zrozumieniem lub wyjaśnieniem czegoś, wprowadzają czas. Tak jakby czas był jakimś pozytywnym czynnikiem mogącym coś z siebie zmienić. Wyczuwam w tym jakąś „magię". Czas jest tylko naszą miarą czy naszym wymiarem świata, świadkiem naturalnego rozkładu rzeczy martwych, tłem entropii. Jeżeli życie się zmienia w perspektywie czasu, to sam czas jest tu tylko świadkiem, nie czynnikiem. Człowiek jest jednak pełen przesądów. Jeżeli mu powiedzą, że tego kotka urodziła suka, nie uwierzy, jeżeli mu powiedzą, że przed milionami lat koty rozwinęły się z psów lub odwrotnie, przyjmie to niemal bez dowodu. Na przykładzie Neandertalczyka widziałeś, co są warte przy bliższym zbadaniu rozmaite pozorne stadia pośrednie. Musimy coś bliżej wiedzieć czy i kiedy i jak powstają nowe gatunki. Mimo, że hodujemy zwierzęta od dziesiątków już pewnie tysięcy lat, nie wiemy na pewno nic nawet o pochodzeniu psa, najbliższego i zapewne najstarszego towarzysza człowieka. Wiemy tylko, że nowe rasy tworzymy przez skrzyżowania istniejących. Poważne wnioski będziemy mogli wysnuwać dopiero gdy nauka genetyki dojdzie do syntetycznych wyników. Wielka to nauka, ciekawa i niezwykle młoda, nieledwie w naszym wieku. Gdy dowiemy się od niej zasad dziedziczności i praw rządzących tą gałęzią biologii, będziemy mogli na czymś budować. Może to będzie jeszcze za naszego życia, bo postępy badań nad genetyką, zwłaszcza w Anglii i Stanach są bardzo szybkie. Na razie mamy hipotezy i fantazje.

Poza tym mamy fragmenty. Kiedy słyszysz (jeżeli słyszysz) nazwy takie jak Pithecanthropus Robustus, Sinanthropus, Homo Rhodaesiensis, to pewnie wyobrażasz sobie rzędy szkieletów, muzea kości ludzkich, gabloty pełne czaszek i piszczeli. A tymczasem w rzeczywistości taki cały gatunek opatrzony szumną nazwą, zazwyczaj krytykowaną przez innych uczonych, składa się na przykład z jednego zęba (dosłownie), z kawałka szczęki lub w najlepszym wypadku ze sklepienia czaszki. Nie masz pojęcia na jak małej ilości materiału to się wszystko opiera. Z zęba konstruuje się szczękę, ze szczęki czaszkę, z czaszki szkielet, ze szkieletu ciało. Jakie przy tym mogą i muszą być fantastyczne pomyłki i dowolności, nie potrzebuję udowadniać. Ostatnio po wojnie we wschodniej Afryce natrafiono na wyjątkowo podobno bogate wykopaliska. Znam je tylko ze wzmianki w odczycie, nie mogłem trafić na opis, nie wiem czy istotnie wnoszą wiele nowego. Nie wie jeszcze o nich nic Brodrick, który wydał swoją „Early Man" w r. 1948.

Krótko mówiąc w głębokich pokładach w różnych punktach globu poznajdowano fragmenty różnych gatunków i dość nawet różnej wielkości szkieletów, których czaszki podobne są do małpich raczej niż do ludzkich a piszczele zdają się świadczyć o tym, że stwory te chodziły tylko na tylnych kończynach. Nigdzie nie znaleziono żadnych fragmentów, które by wskazywały, że stworzenia te używały narzędzi jakiegokolwiek rodzaju. Nie ma też niespornych (choć jest bardzo wiele spornych) „tablic genealogicznych", wywodzących człowieka, czy to „neandertalskiego", czy „współczesnego" od tych pithecanthropusów, których cechą najbardziej interesującą i niespodziewaną jest, że każdy z nich zdaje się być inny. Albo było ich bardzo wiele bardzo nielicznych gatunków, albo też fantazja uczonych jest żywa.

Dopiero niedawno zabrano się do badania sprawy od drugiego końca, a mianowicie od końca antropoidów czyli małp człekokształtnych. Małpy mają dla paleontologa tę wyższość nad człowiekiem, że można je badać na wielokrotnie większej przestrzeni czasu. L. S. B. Leakey, autor dobrej, choć tendencyjnej książki o „Przodkach Adama", dobrał się w ostatnich latach do małp afrykańskich sprzed około dwudziestu pięciu milionów lat, jeśli cyfry lat podawane przez paleontologów można brać dosłownie. Jak wynika z jego sprawozdania radiowego, małpy te różnią się wyraźnie od współczesnych. Są mianowicie znacznie mniej „małpie". Nie znaczy to, by były bardziej „ludzkie". Są mniej „wyspecjalizowane". Leakey wyprowadza stąd wniosek, że małpa i człowiek pochodzą od wspólnego bardzo odległego w czasie czworonogiego przodka. Trzeba przyznać, że to duża rejterada od pewnej siebie prostoty poprzedniego pokolenia biologów. Wspólny przodek odsuwa się w kształcie i w czasie. Znowu czas wezwany na pomoc dla wypełnienia luki.

Jakieś siedemdziesiąt lat temu, gdy Darwin był na ustach wszystkich ludzi wykształconych i sprawa „pochodzenia od małpy" była najbardziej modna, znakomity Mark Twain wpadł na pomysł wystawienia w amerykańskim miasteczku w pobliżu Nowego Jorku pomnika Adamowi. Miał to być wyraz protestu i wierności, tudzież atrakcja reklamowa dla turystów. Jednak nie zebrano dostatecznych funduszów i jedyny na świecie pomnik Adama nie stanął. Sprawa Adama wygląda znacznie mocniej dziś niż przed siedemdziesięciu laty. Nikt już nie twierdzi poważnie, że człowiek pochodzi od małpy, ani współczesnej, ani, co ciekawsze, także od małpy starożytnej. Nie natrafiono nigdzie na ślady czegoś co by wskazywało na pośrednie stadia psychiczne między małpą a człowiekiem. Neandertalczyk ma wszelkie cechy zwykłego człowieka. Nie jest w żadnym razie „przodkiem Adama", raczej potomkiem jednego z jego mniej przystojnych, w naszym rozumieniu, synów. Nadzieja antyadamitów w pithecanthropusach. Ale pithecanthropusy zazdrośnie strzegą swej tajemnicy. Ba, gdyby który żył, gdyby można mu spojrzeć w oczy, od razu by się wiedziało: człowiek czy zwierzę. Czasami przychodzi mi do głowy, że te rzadkie a odmienne okazy, jeżeli prawdziwe, są jak porozrzucane po świecie skorupy jakiś próbnych naczyń odrzuconych. Czy ktoryś z nich był Adamem wątpię. Adam nie był ani biały ani żółty, ani czarny, nie umiał czytać, nie znał pewnie jeszcze techniki łupania krzemienia, może miał nos głęboko pod czołem, nie wiem. Ale na pewno myślał o życiu pozagrobowym, wiedział że jest czymś różnym od wszystkich zwierząt. Istotne jest, że tu nie ma stanów pośrednich.

Ostatecznie jako rzecz pewna z całej teorii ewolucji pozostaje, że czło-

(Dokończenie na str. 8)

MAGDALENA DUBANOWICZOWA

NA MONGOLSKICH BEZDROŻACH *)

Motyl

— „Idziemy już po szczaw?" — pytał mój mąż w promienny czerwcowy poranek stojąc na progu mongolskiej chaty. Miał w ręku wiadro, z kąta wziął kij, na głowę włożył płócienny kapelusz i czekał na mnie. Jeszcze przez chwilę sprzątałam po śniadaniu ośmiu moich wiktowników. Zupa z razowej mąki była nie tylko zjedzona, niejeden wylizał nawet miskę. Trudno — musimy po trochę nabierać prymitywnych zwyczajów, skoro żyjemy nad chińską granicą. Szkoda zostawić i odrobinkę, gdy każdy prawie głodny idzie do roboty. Od trzech dni znowu nie ma chleba, tym razem dlatego, że się zepsuł chlebny piec w Centrali. Wszyscy już przy kolacji zjedli porcję dzisiejszą placków, które upiekłam w popiele.

No, już idę. Przymykamy drzwi, oczywiście nie mają zamka ani zasuwy, i drogą koło gnojowni dochodzimy do placu, na którym nasze trzy dziewczynki i moja siostra robią kiziak, to jest cegły z nawozu na zimowy opał dla urzędników sowchoźnych w Centrali.

Zajęcie, choć obrzydliwe, nie jest przynajmniej bardzo ciężkie. Przy robotnicach kręcą się dwie małe córeczki mojej siostry, mimo wczesnej pory porządnie już uwalane w nawozowym błocie. Marysia dowozi płynną masę nawozu na byczej podwozie. Masę tę zgarniają do form obie młodsze, a ślepy byk Kara Guz cierpliwie myka trawę korzystając z odpoczynku.

— Nie gorąco wam? — pyta mój mąż.

— Jeszcze nie. Mongoł pojedzie zaraz do Aji, więc nie będziemy się spieszyć z robotą. Wróci zapewne aż na południe — pada odpowiedź.

— Szczęść Boże, dziecięta — mówimy na odchodnym — uważajcie, by się nie skaleczyć.

W nawozie jest mnóstwo ostrych patyków, kawałków kości i szkła, toteż niebezpieczeństwo zakażenia tetanosem zawsze wisi nad tą pracą.

Gdy tylko śniegi stajały mój mąż zorganizował dostawę do kuchni zieleniny, to jest szczawiu i dzikiej cebuli. Poprzedniego roku wyszukał nad strumykiem szczaw już znacznie wypasiony przez bydło. Teraz podzielił tereny na siedem części, raz na tydzień rwiemy jarzynę w tym samym miejscu.

Dziś kolej wypada na łąkę nad źródłem. Ścieżką wśród euforbii i kolczastych karagai dochodzimy do głębokiej jamy, w której bije źródło wody sączącej się pod ziemią z okolicznych pasm górskich. Dalej jako strumyk płynie ona do rzeki.

Wodę pijemy tylko ze źródła. Nie trzeba jej gotować, jest czysta a nawet zimna. Mój mąż przynosi ją w wiadrze parę razy dziennie, choć to jest z kilometr drogi, ale też nikt z nas nie choruje na żołądek, póki pijemy tę wodę. W połowie sierpnia źródło wysycha. Wtedy używamy wodę z rzeki, która mimo gotowania nie jest bezpieczna.

Wiadro chowamy w zaroślach i ruszamy na łąkę. Pogoda przepyszna. Ogromna jasność słońca przenika przezroczyste powietrze, śląc z góry rozpylone, złote światło. Wzrok dosięga krańców zamkniętego górami widnokręgu. Odległości prawie nie istnieją: krzaki dzikich róż na skraju łąki są równie widoczne jak czarne skały pod szczytami.

Słońce więcej niż świeci, słońce tu prześwietla, a jasność wnika do wnętrza świadomości. Jak w powietrzu nie ma zamącenia i nieuchwytnych oparów, tak dusza ludzka wydobywa się z mętów i mroków, by cierpieć tym mocniej i tym goręcej. Ale zarazem zwarta, istotna prawda otaczającej przyrody wykuwa w duszy stalową moc wysiłku, sprawności, niezmożoną wolę przetrwania.

Rwiemy szczaw. Schylamy się nad strumykiem, lub klękamy na ziemi przy obfitszych kępach. Liście od spodu są bujne i rosiste, badyle jeszcze nie stwardniały. Mój mąż zna miejsca, gdzie można napełnić koszyk za parę chwil. Chodzi często sam po zieleninę, gdy ja idę o świcie po prowianty do Centrali.

Rwie porządnie, bez traw i korzonków, odrzuca zżółkłe liście. Z równą, spokojną uwagą z jaką dawniej pisał prawnicze dzieła, czy przygotowywał wykłady, z tym samym zapałem z jakim u nas w Polsce czyścił sekatorem dębowe kultury na zrębach — teraz rwie szczaw, byśmy mogli zaspokoić głód zupą z zielska.

Odsunęliśmy się od siebie. Zaszłam gdzieś niby w pachnącą mgiełkę, w powódź przytulii białej i żółtej. Przez jej zasłonę ujrzałam kępę koralowych ostów, unosił się nad nią rój złocistych motyli perłowców. Przyszła mi na pamięć podobna scena u nas na zrębie.

Wtem — czuję jeszcze nagły skurcz serca — na karminowym bodiaku usiadł o metr ode mnie niepylak Apollo! Biały, ogromny motyl chwieje się na kwieciu ostu, na brzeżkach skrzydeł błyszczą rubinowe oka, śnieżne powierzchnie obramia czarny szlak...

Marzyłam o nim całą młodość. Jego jednego brakło w moim zbiorze motyli. Jest to mieszkaniec wysokich gór. Szukałam go na półkach rododendronów pod szczytem Pop Iwana w Czarnohorze, na łanach gencjanny nad Czarnym Stawem. Nigdy go nie zdobyłam. Aż tu — w Centralnej Azji!!! Jest — widzę go. Długą trąbką pije nektar z kielicha, strzyże skrzydełkami, posuwa się na czarnych nóżkach ku środkowi kwiatu.

Co dalej? Jak go dostać? Nie śmiem się ruszyć. Wtem słyszę szelest tuż za sobą. Odwracam się. Mój mąż podsunął się blisko w wysokich trawach. On też widzi Apolla. Już zdjął kapelusz, w tej samej sekundzie motyl przeleciał na kwiat ostróżki o parę długości ramienia. Edward już go dosięga. Nie — spłynął na biały rumianek. Wreszcie usiadł na kępie euforbii, ale też tu go Edward nakrył kapeluszem i krzyknął triumfalnie: Mam go!

Czyż polować można tylko na dziki w ośnieżonych ostępach bukowych lasów, tylko na jelenie w karpackich puszczach? Myśmy już polowali przez długie nocne godziny na pluskwy w mongolskiej lepiance, na stonogi w mrocznej stajni, gdzie nam żyć przyszło. Dziś na łące w Górach Ałtajskich w powodzi światła i kwiatów złowiliśmy motyla...

Pierwotny instynkt łowiecki jest jedną z niezliczonych spajających nas więzi. Gdy Apollo — za duży, by go umieścić w pudełku od zapałek — spoczął w misternie związanej chustce, padliśmy sobie w objęcia — jak po odyńcu. Usiedliśmy na chwilę. Jesteśmy uradowani.

Rozepniemy porządnie cenną zdobycz i w pudełku z cukru spróbujemy dowieźć go do Polski. Trzeba się cieszyć, gdy jest z czego.

Wilki

Dwie nasze dziewczynki pasły 180 cieląt. O świcie, gdy dzienny pastuch wypędził w góry stado krów i byków, one wyganiały stado cieląt w inną stronę. Miały pilnie czuwać, by w ciągu dnia nie dopuścić cieląt do matek. Wtedy bowiem cielęta poddajały krowy, a ilość mleka przy najbliższym podoju znacznie spadała. Pastuszki musiały oddać w południe i wieczór wszystkie zwierzęta dobrze napasione i napojone.

Najstarsze cielęta miały 6 miesięcy, najmłodsze 2 tygodnie. Zagnać je daleko w doliny lub na zbocza, nie zgubić najmłodszych, gdy legły zmęczone pod krzakami, nie dopuścić, by starsze rozeszły się po górach, nie pozwolić, by całe towarzystwo uciekło do tabunu, wrócić w porę na południe, to jest chwilę przed stadem krów, tak by cielęta zamknąć zawczasu w cielętniku — oto zadania dwóch bosych dziewczynek, bez pomocy psów, na piechotę.

Wisi nad nimi groźba nieprzewidzianych wydarzeń w nieznanym świecie, a nade wszystko gniew Mongoła.

W październiku przychodziły na obiad oddzielnie, by nie zostawić cieląt bez opieki, ani nie pracować do zmroku o skąpym śniadaniu.

Pewnego dnia, gdy władca nasz Asindżan pojechał do Aji zjawiły się obie w południe, zjadły w mig zupę

*) Wyjątek z niewydanej książki pod tym tytułem.

i ziemniaki i pobiegły w góry do cieląt. Jedna ze szczytu pagórka patrzyła gdzie poszły cielęta a druga wyganiała z krzaków i zarośli w wąwozie część dobytku.

Wtem Zosia ujrzała z góry duże czerwone zwierzę jedzące coś nad rzeką. Nad tym rudym, jak jej się wydawało, psem podlatywało stado skrzeczących srok. Na skale naprzeciw siedział ogromny sęp białogłowy czekając na swój udział w uczcie. Minęła chwila nim dziewczynka uświadomiła sobie, że rudym zwierzęciem jest wilk pożerający cielaka.

Nie namyślając się ruszyła po siostrę. Wilk zauważył jej ruch i podbiegł truchtem ku rzece. Dziewczynki spotkały się na ścieżce i szybko dążyły do miejsca wilczej biesiady. Idąca przodem Zosia stanęła na szczycie nieznacznej wyniosłości i o pięć kroków spostrzegła wilka, który już powrócił do żeru.

Miał duży kwadratowy łeb, płomieniste cielsko i długi ogon. Na widok dziewczynek odsadził się lekko od resztek cielaka, przebiegł rzekę po kamieniach i wspiął się po prostopadłej czarnej skale jak płomyk, by z jej szczytu patrzyć uważnie na pastuszki.

Z cielęcia pozostał łeb, ogon i kości oskrobane z mięsa niby ostrym nożem. Panny spędziły całą swą trzodę i przygnały ją szybko na majdan. Tu podniosły wielki krzyk oznajmiając, że wilki zjadły cielę.

Mongołowie porwali siekiery, widły i łopaty, dojarki dzierżyły blaszane wiadra i nakrywki. Całe bractwo z dziećmi wrzeszcząc i krzycząc pod przewodem Marysi i Zosi popędziło ku wąwozowi. Tylko mój mąż i ja nie odbieżeliśmy ogniska i kociołka z wrzącą zupą dla naszych pracownic.

Powrócili niosąc resztki wilczej biesiady: łeb z kolczykiem w uchu, oskrobane kości i długi ogon cielęcia. Władca nasz Asindżan pognał konno donieść o klęsce w zarządzie sowchozu.

Mongołowie twierdzili, że całe stado wilków napadło cielęta, bo jeden nie byłby w stanie tak szybko zjeść łupu i tak dokładnie poobgryzać kości.

Nie wiedzieliśmy, co sądzić o następstwach tego wydarzenia. Radością napełniał nas fakt, że dziewczynkom nic się złego nie stało z przyczyny wilków.

Późnym wieczorem nadjechał dyrektor Sagitow, siostrzeniec Asindżana. Zwołano miting (jak się to nazywa) robotników. W groźnej, grobowym głosem wypowiedzianej oracji dyrektor orzekł, że obie dziewczynki pójdą do tiurmy za niedbałą opiekę nad kazionnym dobytkiem, chyba że ojciec zwróci 500 rubli za cielę. Dodał zwyczajną zachętę do pracy dla dobra Sojuzu i wyszedł za próg.

Mój mąż wyszedł za nim. Wtedy bez świadków, dyrektor zaproponował, by mu dać ubranie zamiast 500 rubli, o ile nie posiadamy gotówki.

Wieczór, gdyśmy się ułożyli pokotem na ziemi w naszej kwaterze— stajni cielęcej — wszedł Asindżan i mrużąc skośne oczka rzekł kiwając smutnie głową: — Ot, żal dwojga młodych, które pójdą do tiurmy i tam przepadną. Niech ojciec da 500 rubli, albo polskie ubranie, a ja wszystko załatwię z dyrektorem.

— Nie mam ani ubrania, ani 500 rubli — brzmiała odpowiedź mego męża.

— Oj szkoda dwojga młodych dziewcząt, szkoda — powtórzył Mongoł i wyszedł.

Zmówiliśmy wspólnie pacierz i ufni w opiekę Bożą zasnęliśmy po emocjach.

Nazajutrz skoro świt poszłam spiesznie do Centrali. Zastałam na szczęście w biurze Mikołaja. Dowiedziałam się od niego, że sprawa wilka i dziewczynek nie jest tak tragiczna jak twierdzi dyrektor i Asindżan. Sowieckie prawo postanawia, że pasterz, który przyniesie łeb pożartego cielęcia z kolczykiem w uchu, nie ponosi odpowiedzialności za stratę kazionną. Natomiast nie wolno powierzać opieki nad kazionnym bydłem młodzieży poniżej lat 19. Pasterze mają być zaopatrzeni w długie bicze, jeździć na bykach lub na koniach i mieć psy do pomocy.

Asindżan zlekceważył wszystkie te przepisy, a nasze panny dostarczyły łba z kolczykiem. Mikołaj śmiał się rozgłośnie, mówiąc, że takie głupstwo stać się nie może, by ludzie poszli do tiurmy za to, że wilk zjadł cielę.

— On myśli, ten wasz Kazak, że wy jemu dacie ubranie albo pieniądze za cielę — mówił Mikołaj. — Powtórzcie mu tylko co wam powiedziałem o zakonie, a zobaczycie, że zapomni o groźbach.

Podziękowałam mu za wyjaśnienie i wróciłam czym prędzej na Karantyn. Otucha wstąpiła w zaniepokojone serduszka dziewczynek, gdy się dowiedziały, jak sprawy stoją. Rozumieliśmy, że nie możemy płacić za cielę, wszak wilki mogą sobie codzień urządzać uczty, a ubrań ani pieniędzy nie mamy na zbyciu.

Wieczorem, gdy mój mąż palił na dworze pod kociołkiem, w którym warzyłam kolację, przystąpili do nas trzej Mongołowie: Asindżan, Sirk i Tarańcia. Miny mieli uroczyste, kroczyli godnie. Po uprzejmych powitaniach zasiedli w kuczki wokół mego męża na trawie. Wyglądali jak ludzie, którzy przychodzą zawrzeć ważną umowę.

Asindżan zagadnął, czy ojciec da za cielę 500 rubli czy też ubranie? Mój mąż poczęstował ich tytoniem, sam starannie napchał i zapalił fajkę, wreszcie spokojnym głosem zapytał szanowne grono:

— Czy wiecie co postanawia sowiecki zakon?

Mongołowie spojrzeli nań z podziwem

— Nie wiemy — brzmiała odpowiedź.

— To ja wam powiem — rzekł mój mąż i powtórzył dokładnie wszystko, czego się dowiedziałam w Centrali.

W miarę słów zdumienie dzikusów przeradzało się w podziw, by dotrzeć do granic zabobonnej trwogi. Gdy skończył powstali, podali mu prawice i w głębokim milczeniu odeszli gęsiego ku stajni.

Nigdy więcej nie było mowy o wilku, ubraniu i 500 rublach. Natomiast dziewczynki zaprotestowały stanowczo przeciw dalszemu pasieniu cieląt. Wnet rozpoczęła się nowa i nielepsza faza ich pracy.

— — — — — — — —

Z początkiem marca słońce grzało już mocno. Świat cały lśnił jednolitą bielą śnieżnej pokrywy, którą przebijały tylko ciemne skały. Śnieg pędzony wiatrami wyrównał doły i wąwozy. Chata nasza i stajnie tonęły w zaspie sięgającej dachu.

W samo południe wyszłyśmy z Zosią przed próg, by zwiać łuski z pszenicy, którą dziewczynki ubiły w stępie. Od południowej strony było zupełnie ciepło. Od północnej mróz nie ustąpił ani na chwilę. Rozesłałyśmy worek na śniegu i z szerokiego rondla wiałyśmy ziarno. Złociste łuski leciały lekko i daleko, pszenica sypała się na worek. Uważałyśmy, by nie stracić ani ziarenka cennego zboża, którym żywiliśmy się od dwóch miesięcy, gdy zabrakło ziemniaków.

O kilka metrów niżej na majdanie, między chatą a rzeczką, kręciły się byki, krowy i cielęta skubiąc skąpe kłapcie siana. Nagle całe stado zbiło się ciasno, cielęta wpadły w środek, byki i krowy spuściły rogate łby, podniosły ogony i runęły ku rzece, na prawo.

Ruch ten zwrócił naszą uwagę. Cóż to się dzieje? — pomyślałam zdumiona.

Wtem Zosia krzyknęła: wilki! Równocześnie dwa duże wilki wyskoczyły spomiędzy bydła i zwinnymi susami odsadziły się za rzekę. Wpadłyśmy do chaty po mego męża. Wybiegł w mgnieniu oka. Wilki stały w przejrzystych łozach, zwrócone w stronę bydła, napięte do skoku, siwe, ogromne, z nastawionymi uszami, wlokąc po śniegu puszyste ogony. Ani myślały uciekać. Cielęta zbite w gromadę kryły się w pierścieniu dorosłych sztuk.

Widok był niezrównany. Niby przez rozdartą zasłonę przeszłości ukazała się nam walka obronna zwierząt domowych z drapieżnikami. Matki chroniły rogami potomstwo przed napastnikami dybiącymi na ich życie. Rabusie przed chwilą wpadły w środek stada i były o krok od zdobyczy.

Wspaniały w swej pierwotności dramat odgrywał się na śnieżnej powierzchni górskiej doliny, w promiennym słońcu mroźnego południa. Ludzie nie brali udziału w akcji. Z góry patrzyliśmy na tę przejmującą scenę. Wszystko to trwało kilka chwil.

Mongołowie wypadli ze swych kwater i pospiesznie z okropnym wrzaskiem zagnali bydło do stajni, a wilki dostojnie, wolnymi susami wyszły na pagórek i długo stały patrząc w naszą stronę.

Pierwszy raz w życiu byliśmy tylko widzami wobec takiej zwierzyny. Nie mieliśmy broni! Warunki strzału były doskonałe a wynik po prostu pewny.

Wróciliśmy do chaty pod głębokim wrażeniem oglądanej sceny. Myśliwskie serca uradowały się jej widokiem.

Trudno — wilka nie można tak jak motyla — złapać pod kapelusz.

(Dokończenie ze str. 5)

wiek ma swoje określone miejsce w świecie fizycznym, że jest ssakiem, a najbliższe jego sąsiedztwo stanowią wielkie małpy człekokształtne. Ale to i tak wie każdy. Wystarczy pójść do ogrodu zoologicznego i poobserwować szympansy, by się przekonać, że mają nie tylko budowę fizyczną podobną do naszej ale i podobny system nerwowy. Ubogi to wniosek może, ale pewny. Pewniejszy niż ów pithecanthropus odtworzony przez niemieckiego profesora z zęba nabytego u chińskiego aptekarza.

A swoją drogą teoria ewolucji jest fascynująca. Jest to jak gdyby odtwarzanie myślą narastania żywych form rozwijających się jak myśl.

WIKTOR TROŚCIANKO

FUNDAMENTY RZECZYPOSPOLITEJ

JEDNYM z charakterystycznych przejawów politycznego myślenia w państwach demokratycznych są publikacje na tematy polityki zagranicznej, czy na tematy związane z zagadnieniami, obchodzącymi te państwa. I nie to jest charakterystyczne, że publikacje takie się pojawiają, bo to rzecz normalna. Od tego jest wolność słowa, żeby można było drukować wszystko, co się nie kłóci z prawem zainteresowanego kraju. Praktycznie jednak drukować można tylko te rzeczy, które mogą być przeczytane, lub te, które węższa opinia polityczna uzna za pożyteczne do przeczytania przez własne społeczeństwo. Jest w tym ciekawy objaw dyscypliny społecznej, połączenie zasady wolności słowa z bieżącym politycznym interesem.

Funkcjonowanie tego systemu w społeczeństwach demokracji zachodnich odczuli na sobie ci Polacy, którzy pragnęli np. przedstawić czytelnikowi krajów anglosaskich polski punkt widzenia w języku angielskim na sprawy żywo nas obchodzące. Przez pewien czas rynek wydawniczy był niemal hermetycznie zamknięty.

Nic dziwnego, że doskonała książka profesora Adama Żółtowskiego, wnosząca do angielskiej literatury politycznej ważne problemy polskie musiała odleżeć się dobrych kilka lat. Leżała w rękopisie bodaj przez cały miodowy okres pojałtański, okres niespełnionych nadziei na trwałość podziału Europy na część wolną i niewolniczą. To, co się w tym czasie ukazywało po angielsku na tematy polskie — jeśli nie liczyć wyjątków — było z reguły rozwijaniem tez „nieświętego przymierza", które jeszcze dziś od czasu do czasu ktoś nazwie „grand alliance". Tak np. teoretykiem i zajadłym szermierzem jałtańskiej polityki wobec Polski, wobec jej żywotnych problemów wschodnich, był od długich lat cierpliwy w swej niechęci do Polaków prof. Namier, jeden z autorów tej polityki Foreign Office, która Europę środkową skłonna była traktować jak barbarzyńskie vacuum, konieczne do zapełnienia przez potężne organizmy państwowe narodów mających zdolności w tym kierunku.

Jednym z ostatnich wyrazów takiej polityki zanotowanych w druku była książka prof. Namiera „Facing East" (Londyn, 1947). W rozdziale dotyczącym Polski, autor obnaża nie tyle swoje poglądy, co namiętne uczucia, dziwnie raczej wyglądające przy tytule profesora historii uniwersytetu w Manchesterze. Wystarczy zacytować z owej wyjątkowo złośliwej książki ustęp, traktujący o powstaniu granicy traktatu ryskiego, żeby pamiętać o tej części polityki angielskiej, która w roku 1945 stała się brytyjską tezą oficjalną. Mowa jest o polskich terytoriach na wschodzie i o tym, jak je Polacy podstępnie zdobyli. „In a frantic yet sustained campaign of selfdeception and propaganda, facts and arguments were twisted, and statistics were faked; and every treatise, be it about the proverbial elephant, led up to a vindication of Poland's rights to Vilna and Lvov (and to anything else which had been put into the bag with them). When the present tragedy supervened, an intellectual pea-soup fog precluded sane and sober reorientation."

Nie trzeba dodawać, że „present tragedy" nie była figlem, spłatanym przez bogów z greckiego Olimpu, tylko dziełem żyjących ludzi.

Do tej linii w politycznej literaturze angielskiej i atmosfery, którą ona wytwarzała, wracamy, notując ukazanie się przed miesiącem książki niezmiernie pracowitej, sumiennej, napisanej jeszcze w czasie wojny, a nie wydanej jako rażącej w atmosferze do niedawna tak bardzo nad polskimi sprawami zagęszczonej. „Border of Europe" i dziś jeszcze jest pierwszą jaskółką, która niekoniecznie wróży wiosnę. Żyjemy ciągle w okresie, kiedy poważnie się mówi o Europie tylko na zachód od Łaby. Od poważnego zaś mówienia do poważnego działania nawet i w tym wycinku świata jest jeszcze pewien dystans. A cóż dopiero, gdy się zbliżyć do naszego terenu geograficznego?! Tym niemniej istnieje już możliwość mówienia czegoś innego niż to co było dotychczas uważane za jedynie rozsądne i pożyteczne dla przeciętnego obywatela państw zachodnich w ogóle, a Wielkiej Brytanii w szczególności.

Książka prof. Żółtowskiego przedstawia polski punkt widzenia na nasze problemy wschodnie. Mówimy o polskim punkcie widzenia, nie zaś o tych kombinacjach, które powodują zawieszenie znaku zapytania nad ziemiami między Bugiem i linią traktatu ryskiego. W „Granicach Europy" profesor Żółtowski daje bogaty materiał historyczny, doprowadzony do czasu ostatniej wojny. Argumentacja historyczna poparta jest bogactwem materiału źródłowego, tak by krytyczna i podejrzliwa na „propagandę" natura czytelnika anglosaskiego znalazła dowody rzeczowe. Autor zadaje sobie wiele trudu celem wytłumaczenia zjawiska historycznego Rzeczypospolitej Obojga Narodów, oraz jej stosunków politycznych na przestrzeni pięciu wieków z wschodnim i południowym sąsiadem. Prof. Żółtowski — znając argumenty czynników nam nieprzyjaznych o „Polsce landlordów i uciskanych mas", daje ciekawy wywód naszych stosunków socjalnych i to zarówno w okresie, w którym naród polski był odpowiedzialny za ich ukształtowanie, jak również za czas znajdowania się pod władzą państw zaborczych. Z książki można znaleźć — jeśli się ma dobrą wolę — kierunek polskiego rozwoju socjalnego, kierunek emancypacji tzw. warstw niższych. Nie mamy powodu wstydzić się reform polskich końca XVIII wieku. Wytrzymują one próbę porównawczą z każdym społeczeństwem zachodnim w tym czasie, a nawet w niejednym wyprzedzają stosunki społeczeństw zachodnich do połowy wieku XIX.

Argumenty z tej dziedziny są specjalnie pożyteczne, ponieważ są pisarze na zachodzie, którzy świadomie przedstawiają stan stosunków socjalnych w naszym kraju, pomijając politykę zaborców. Chcąc jak gdyby uprzedzić polską w tej sprawie odpowiedź twierdzą, że Polacy mają zwyczaj wszystkie swe braki i wady narodowe tłumaczyć polityką zaborców. Dobrze się więc stało, że prof. Żółtowski zajął się szczegółowo wykazaniem, że pod zaborami Polacy byli rzecznikiem emancypacji wsi nawet wbrew polityce Austrii czy Rosji. Bogate są również materiały, przedstawiające nasz dorobek kulturalny i organiczne powiązanie kultury ziem wschodnich z resztą Polski.

Słusznie autor wydobywa znaczenie Komisji Edukacyjnej i rezultaty jej działalności na ziemiach wschodnich. Skutki prac tej Komisji, a właściwie, jak byśmy dziś powiedzieli, ministerstwa były szczególnie błogosławione na ziemiach dawnego W. Księstwa Litewskiego. Komisja była chrzestną matką polskiego renesansu kulturalnego, romantyzmu z jego wielkimi talentami, myśli naukowej i politycznej Polaków. Na edukacji narodowej bardziej niż na czymś innym przetrwały fundamenty zburzonego państwa przez cały wiek XIX. Zachowane fundamenty Rzeczypospolitej, ojczyzny narodów, które przez kilka wieków tworzyły wspólne wartości cywilizacyjne, autor wydobywa jako realną treść dla tej połaci terytorialnej Europy, nadając swej książce tytuł „Border of Europe".

Nie warto może dziś specjalnie

spierać się o pojęcie granic Europy, gdy sama Europa nie bardzo sobie rości pretensje do zachowania swego stanu posiadania i za cenę jakiegokolwiek spokoju gotowa ustąpić wiele ze swych wartości — to nawet, co wielekroć uratowało ją przed wchłonięciem i strawieniem. Jeśli jednak kiedykolwiek zostanie przywrócony naszej cywilizacji jej przygaszony dzisiaj blask, to obszar i kolebka tej cywilizacji nie będą czymś fantastycznym, lecz tak rzeczywistym jak dla narodów cywilizowanych realna była i jest kolebka śródziemnomorska. Zarysowanie przez prof. Żółtowskiego granic cywilizacyjnych Europy, jako pojęcia wyższego rzędu, wybiega daleko poza doraźne cele polityczne, które towarzyszyły angielskiej książce na polskie tematy. Prof. Żółtowski jako filozof widzi w Europie ciągłość idei, która może zostać wypaczona układem stosunków społecznych i ekonomicznych, lecz istnieje póty, póki nie zniszczy jej antyidea. Tę antyideę widzi autor poza wschodnimi granicami Rzeczypospolitej. Daje na to wiele przykładów, z których najbardziej wymowny jest kijowski „targ na służbę domową", proceder uprawiany przez Rosjan w drugiej połowie XIX wieku. Granice Rzeczypospolitej w sensie kulturalnym — to granice Europy.

Nie można oprzeć się uczuciu, że wiele z tego, co autor na opisywanej przestrzeni nazywa Europą, legło w gruzy, zostało odsunięte na zachód, wymarło, zginęło w kolejnych pożogach. Jeśli jednak pozostały nawet resztki — a te pozostały na pewno, obowiązkiem naszego pokolenia, podobnie jak pokoleń poprzednich, jest stanąć do ich ratowania.

I tu dochodzimy do sedna rozważań autora dla nas, dla Polaków. Narody zachodnie mogą problemy terytorialne Polski zrozumieć lub ich nie zrozumieć. Obowiązkiem naszym jest wywierać pomyślny wpływ wszystkimi środkami, z których książka jest nie najmniej ważnym. Jedno jest pewne: **problemów tych nie mogą nie zrozumieć sami Polacy, ani zatracić ich w sztucznych i mętnych kombinacjach doktrynalnych.**

Fundamentem Rzeczypospolitej jako państwa, fundamentem jego trwania i rozwoju jest terytorium państwowe. O nie toczyła się namiętna walka polityczna w okresie pierwszej wojny światowej, ten problem był ośrodkiem polityk sowieckiej i niemieckiej w czasie ostatniej wojny. Terytorialne problemy Europy środkowej i pomysły jej „urządzenia", będą towarzyszyły na pewno przyszłym zmaganiom światowym. Zanim o słuszności naszych tez przekonamy ewentualnych sojuszników, musimy sami być ich całkowicie pewni. Nie można improwizować odbudowy domu, a cóż dopiero siedziby narodu. Każda łatanina okazuje się nietrwała i sprowadza rychło niepowetowane szkody.

Cokolwiek Polaków może dzielić, nie może być mowy o różnicach na tle samych fundamentów państwa — na tle problemu terytorialnego. Obowiązuje to zarówno od strony zachodniej jak i wschodniej. W ciągu pięciu stuleci na północy, a dziesięciu prawie na południu, naród nasz zainwestował tyle wartości duchowych, że wyrzeczenie się ich byłoby drogą do bankructwa. Książka prof. Żółtowskiego „Border of Europe" jest tej tezy pracowitym wyrazem na użytek zewnętrzny, na użytek „would-be-allies".

Sześćdziesiąt stron książki poświęca autor tym problemom, przedstawiając rozwój polskiej myśli politycznej w okresie pierwszej wojny światowej w odniesieniu do naszego programu terytorialnego na wschodzie. Staranne przedstawienie przebiegu wydarzeń poprzedzających traktat ryski jak również samej historii tej konferencji jest — obiektywnie rzecz biorąc — bardzo pożytecznym materiałem politycznym dla ludzi dobrej woli. Prof. Żółtowski zbija jedną po drugiej tezy przeciwników polskiego programu terytorialnego argumentacją, dokumentami i faktami. To prawda, że w polityce potrzeba czegoś więcej niż najbardziej przekonywającej argumentacji książkowej. Ale i tej lekceważyć nie można.

Z pisarskiego punktu widzenia rozdział zatytułowany „Peace of Riga" — jest świadectwem nie tylko sumiennej znajomości tematu, lecz poświęcenia mu całej duszy — jeśli można tak mówić przy temacie traktującym o sprawach politycznych. Ogień twórczy nie jest monopolem poetów i wirtuozów. W polityce też może być twórczość — wielka, rozgrzana wewnętrznym przekonaniem, lub mała. Ta zwykle nazywa się grą, lub jeszcze gorzej — gierką.

Rozdział o traktacie ryskim jest pracą, przedstawiającą polskie cele polityczne w okresie końcowym poprzedniej wojny światowej, oraz wysiłki w kierunku realizacji tych celów. Wiele miejsca znalazło wyjaśnienie sprawy ukraińskiej i jej powiązań, oraz tzw. sprawy wileńskiej. W obu tych tematach autor dotknął najbardziej bolesnych problemów polityki polskiej — tej, której niedalekie w czasie dziedzictwo określać można było mianem Rzeczypospolitej obojga narodów. Wiek XIX, jego procesy polityczne, społeczne, polityka państw zaborczych na terenie ziem polskich — wszystko to złożyło się na obraz dramatu rozgrywającego się między Dźwiną, Dniestrem i Zbruczem. Rozwiązanie tego dramatu okazało jeden pewnik: o Rzeczypospolitej obojga narodów mowy już być nie mogło. Z jednej strony mieliśmy państwo polskie i naród polski, z drugiej problemy mniejszościowe wygrywane przeciwko nam przez różne siły obce. Odradzające się państwo — chcąc zachować fundamenty swego istnienia — nie mogło uchylić się od rozwiązania tych problemów nawet z koniecznością chwycenia za broń.

Pokój ryski z Rosją Sowiecką był znacznym okrojeniem tych fundamentów.

Nie mając sił na rolę przedmurza cywilizacji, państwo polskie ograniczyło się do wytyczenia linii konieczności państwowej. Polityka polska skutecznie oparła się całemu naciskowi wrogich Polsce sił, zarówno ze wschodu, jak z zachodu Europy. Pod tym względem okres lat 1918 — 1920 jest — z pewnymi znanymi wyjątkami przykładem dla aktualnej polityki polskiej i naszych celów na okres ważkich decyzji. Jeśli mowa o wyjątkach — to jedno chyba jako przestroga dla potomności wynika niezbicie: chwytanie się doktryny, nie mającej oparcia w interesie narodowym, upieranie się przy chimerach i nadziejach politycznych, a nawet angażowanie w nie żywych sił narodu kończy się niezmiennie przegraną. Zwłaszcza wtedy, gdy się nie ma ciągłości kilku stuleci, gdy się z gruzów odbudowuje państwo. Na interwencje głębsze w sprawach wschodnich mogła sobie pozwolić Polska Stefana Batorego, nie mogła zaś Polska dźwigająca państwo po stuleciu niewoli.

Tak zwana sprawa wileńska, Republika Litewska, rozgraniczenie terytorium państwowego między Polską i Litwą było poważnym ciosem nie tylko dla polityki polskiej. Razem z enklawą Prus Wschodnich to stworzyło i utrzymało nad Bałtykiem niebezpieczny stan zapalny, służący przez całe dwudziestolecie jako odskocznia do przygotowania nowych podbojów przez wielkie imperializmy Stalina i Hitlera. Ponurym cieniem na to dwudziestolecie legły litewskie wysiłki całkowitego odseparowania się od Polski, wychowania młodego pokolenia w duchu nienawiści do Polaków, w duchu urojonego rewanżu.

Opinia angielska została rozbudzona ze stanu zwykłej nieświadomości przed sześciu laty słynną mową Churchilla, w której premier brytyjski twierdził, że Wielka Brytania nigdy nie uznała załatwienia sprawy wileńskiej przez Polskę. Był to jeden z najbardziej drastycznych aktów rozminięcia się z rzeczywistością historyczną, w której data roku 1923, uznania przez Radę Ambasadorów z udziałem Wielkiej Brytanii delimitacji na wschodzie z Rosją i na północy z Litwą była dla wszystkich czynnych polityków faktem jawnym i doskonale znanym. Prof. Żółtowski w swej książce przypomina nawet co przyspieszyło to uznanie: atak nieregularnych sił litewskich na garnizon aliancki w Kłajpedzie, pozostawionej do dyspozycji mocarstw sojuszniczych przez traktat wersalski. Ósmego stycznia 1923 oddziały litewskie zaatakowały garnizon francuski i mimo oporu ze strony Francuzów Kłajpedę zajęły. Rada Ambasadorów garnizon wycofała, Kłajpedę przyznała Litwie i postanowiła załatwić nieuregulowany stan prawny w tej części Europy. To, a nie żadne polskie akty wojskowe, jak to przedstawiają niektórzy historycy, było bezpośrednim powodem uznania granic Rzeczypospolitej tak, jak je naród nasz sobie wybronił.

Dobrze się stało również, że znaczna część książki, bo około sto stron druku, została poświęcona rozwojowi kulturalnemu, gospodarczemu i spo-

łecznemu naszych ziem wschodnich w okresie dwudziestolecia. Trudno jest się oprzeć uwadze, że rozwój ten mógł być bardziej owocny, gdyby nie trzynaście lat braku sprecyzowanej polityki polskiej na ziemiach wschodnich i rzucanie się rządzących eks-federalistów od jednej skrajności do drugiej. Niejednokrotnie państwo przeszkadzało naturalnemu biegowi spraw, wiążących na nowo ziemie wschodnie z resztą organizmu narodowego. Na usprawiedliwienie — jeśli w polityce można mówić o usprawiedliwieniu — obóz pomajowy mógłby podać tylko to, że problemy narodowościowe zwłaszcza w Małopolsce Wschodniej były wyjątkowo trudne. Antagonizmy podsycane były z wszystkich stron, głównie ze strony Niemiec i Rosji Sowieckiej. Kresy wschodnie były terenem wypadowym komunizmu sowieckiego, nasilane propagandą antypolską z ośrodka w Mińsku czy Kijowie. Tym bardziej ziemie te musiały być przedmiotem mądrej polityki wewnętrznej, a nie stawać się „terenem zesłania“ b. legionistów I Brygady, źle sobie radzących na stanowiskach państwowych.

Te jednak uwagi nasuwają się jedynie na marginesie książki, która ściśle wewnętrznych spraw polskich nie porusza. Jest to oczywiście jedyna postawa właściwa, gdy się przemawia lub pisze dla cudzoziemców.

Jako humanista, autor „Border of Europe“ akcentuje specjalnie wszystkie problemy związane z duchowym rozwojem społeczeństw. Tak więc rozwój religii, nauki i sztuki na ziemiach wschodnich jest w książce działem szczególnie bogatym, dołączonym do każdego okresu, na które autor dzieli swą pracę. Takiego bogactwa szczegółów dawno nie mieliśmy w polskich publikacjach na te tematy. Książka więc jest nie tylko instrumentem przekazania polskiej myśli do środowiska obcego, jest również ogromnie pożytecznym zestawieniem problemów polskich na terenie ziem wschodnich dla polskich polityków, publicystów, wszystkich w ogóle ludzi czynnych w sprawach publicznych.

Polskie ziemie wschodnie są dziś w tej tragicznej sytuacji, jakiej przez dalekie porównanie, można byłoby szukać w położeniu Śląska, oderwanego od polskości i niemczonego brutalnie, podczas gdy inne części kraju miały przynajmniej tę pociechę, że Polacy byli w wielkiej masie. W chwili obecnej na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej Sowiety przeprowadzają operacje, które mają uniemożliwić powtórne zrośnięcie się tych obszarów z państwem polskim. W kraju pod reżimem sowieckim nie zapomina się o narzucaniu Polakom przekonania, że to sprawa zamknięta raz na zawsze. Do celów takiej propagandy używani są nawet wyrodni synowie Wilna czy Lwowa. Z licznych niejawnych źródeł wiadomo, że naród — jako całość — widzący olbrzymie trudności przed sobą, zdecydowany na obronę zaludnionych już ziem zachodnich, ani przez chwilę nie wyrzekł się tej części Polski, która w systemie fundamentów państwowych jest konieczna. Każdy uczciwie myślący w Polsce człowiek zdaje sobie sprawę, że bez tych elementów gmach państwa będzie z jednej strony katastrofalnie zarysowany.

Przypomnienie spraw tych przyda się również polskiej emigracji, która od pewnego czasu jak gdyby „wyszeptała się“ i niewiele nowego ma do powiedzenia w tematach tak zasadniczych jak kwestie terytorialne. Sama deklamacja o „całej i niepodzielnej“ nie wystarczy. Trzeba prócz haseł poważnej argumentacji. Tej zaś jest bardzo mało.

Książka profesora Adama Żółtowskiego jest i z tego względu zjawiskiem bardzo dodatnim. Dowodzi, że myślenie polityczne Polaków nie spadło do skali kryzysów politycznych na Kensingtonie.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

ODRA I NYSA GRANICĄ POLSKO-NIEMIECKĄ

Na nadzwyczajnym walnym zebraniu Koła SPK Nr 181 Manchester — Miasto uchwalono następującą rezolucję w sprawie ziem zachodnich:

Zgromadzeni na Walnym Zebraniu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Manchesterze, żołnierze polscy uczestnicy pierwszej i drugiej bitwy o Warszawę, bitwy o Tobruk i Narwik, bitwy o Wielką Brytanię, bitwy pod Monte Cassino, Falaise, Arnhem i tylu innych pragną zwrócić uwagę wolnej opinii narodu brytyjskiego na przygotowujące się próby propagandowo-dyplomatyczne, zmierzające do ponownego pokrzywdzenia Polski i sąsiadujących z nią narodów Europy środkowej.

W latach 1939-1945 naród polski wykonał uczciwie swój obowiązek sojuszniczy, czego zresztą naród brytyjski był świadkiem na swoim własnym terytorium. Mimo to Polska pozbawiona została układami teherańskim i jałtańskim blisko połowy swego terytorium, a następnie oddana wraz z innymi narodami Europy środkowej w nieludzką niewolę i okupację rosyjską.

Jako częściowe zadośćuczynienie za straszliwe zbrodnie okupacji niemieckiej w Polsce połączone z wymordowaniem przez Niemców około 5 milionów obywateli polskich, oraz w uznaniu moralnych i historycznych praw i potrzeb gospodarczych narodu polskiego, konferencja w Poczdamie przyznała Polsce w r. 1945 ziemie do Odry i Nysy Łużyckiej.

Że granica polsko-niemiecka na Odrze i Nysie była wówczas faktycznie uważana za ostateczną świadczy m.in. postanowienie wielkich mocarstw biorących udział w konferencji poczdamskiej, wysiedlenia Niemców z terenów przyznanych Polsce. W konsekwencji tych uchwał obecnie całe to terytorium na wschód od Odry i Nysy zamieszkują wyłącznie Polacy, przy czym jest rzeczą oczywistą, że społeczeństwo polskie w ciągu lat 5 włożyło wielki zasób sił, energii i kapitału w odbudowę i zagospodarowanie zniszczonych ziem.

Jeszcze Polska i inne narody Europy środkowej nie odzyskały niepodległości, jeszcze toczy się na tych obszarach nieubłagana, pełna ofiar i poświęceń walka, w której te narody stawiają opór narzuconej sobie siłą i podstępem drugiej okupacji, a już szowiniści i imperialiści niemieccy, w niczym nie wykazując skruchy za popełnione tak niedawno zbrodnie przygotowują odwet w pierwszym rzędzie przeciwko Polsce i Czechosłowacji.

Oświadczenie Wysokiej Komisji mocarstw zachodnich w Niemczech z dnia 4 października br., stawiające de facto jeszcze raz granicę polsko-niemiecką pod znakiem zapytania wywarło wśród nas kombatantów uczucia żalu i oburzenia.

Gdyby niemiecki rewizjonizm uzyskał poparcie mocarstw zachodnich, pogłębiłoby to tylko rozpacz naszych narodów uciemiężonych przez Moskwę i ułatwiłoby moskiewskim agenturom wytwarzanie nastrojów wrogich dla Zachodu.

Naród polski walcząc w obronie ideałów cywilizacji chrześcijańskiej ma prawo oczekiwać od Zachodu pomocy, a nie groźby nowej krzywdy.

Naród polski był zawsze ostoją i obrońcą ideałów zachodnich w tej części Europy i byłoby zbrodnią wobec historii wpychać go obecnie w ramiona imperialistycznej Moskwy.

Odwołujemy się do opinii wolnego narodu brytyjskiego, aby zabrała głos w obronie słusznych praw narodu polskiego.

Zwracamy się w szczególności do naszych wypróbowanych przyjaciół kombatantów brytyjskich, aby nie odmówili tej pomocy swym dawnym towarzyszom broni z drugiej wojny światowej.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU SPK NA „PAMIĘTNIK EMIGRANTA“

Na ogłoszony przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów konkurs na „Pamiętnik emigranta“ nadesłano ogółem 59 prac, z których jedna w toku trwania konkursu została wycofana.

Z prac tych 21 pochodziło z Francji, 10 z Wielkiej Brytanii, 6 z Niemiec, 5 z Kanady, 3 z Argentyny, po 2 z Belgii, Brazylii, Palestyny i Stanów Zjednoczonych, po 1 z Afryki Wschodniej, Indii, Libanu, Szwajcarii, Szwecji i Włoch.

Jury konkursu w osobach Józefa Kisielewskiego (przewodniczący), Tadeusza Nowakowskiego i Jana Radomyskiego, postanowiło zastosować przy ocenie i klasyfikacji przede wszystkim kryteria socjologiczne i przyznać łącznie 10 nagród — 5 po £ 20 i 5 po £ 10.

Nagrody otrzymali: 1) Karol Chmielowiec (Stany Zjednoczone) £ 10, 2) Stanisław Chrastek (Francja) £ 20, 3) Kasper Kuliński (Francja) £ 10, 4) Wojciech Łęski (Wielka Brytania) £ 20, 5) Mieczysław Serwacki (Wielka Brytania) £ 20, 6) Antoni Skupień (Argentyna) £ 20.

Nagrody uzyskało również czterech innych autorów, których obecne adresy nie zostały jeszcze ustalone, za prace oznaczone godłami: 7) „Wanda Kątska" (Indie) £ 20, 8) „Kłos" (Tanganika) £ 10, 9) „Los, z którego nie jestem zadowolony" (Szwajcaria) £ 10, 10) „Za... a inteligencja" (Belgia) £ 10.

Jury wyróżniło ponadto prace, opatrzone godłami: „Alfa" (Francja), „Antoni Rudczyński" (Francja), „A. Stach" (Francja), „B. D." (Włochy), „Emigrantka" (Niemcy), „Gorol" (Francja), „H. D." (Francja), „Julian" (Argentyna), „Maciek" (Wielka Brytania), „Pobóg" (Francja), „Rola" (Niemcy), „Rozalia" (Kanada), „Rzeczpospolita" (Argentyna), „Siedlecki" (Stany Zjednoczone), „S-ka" (Belgia), „Świat jest za mały" (Szwecja), „Śnieżka" (Francja), „Wilnianin" (Francja), „Zgaszony świecznik" (Wielka Brytania).

Sąd konkursowy zakwalifikował do ewentualnego ogłoszenia drukiem przede wszystkim prace opatrzone godłami „A. S." (Antoni Skupień, Argentyna), „Janina" (Wojciech Łęski, Wielka Brytania), jako książkę dla młodzieży polskiej, „Wanda Kątska" (Indie), oraz nie odpowiadającą wprawdzie warunkom konkursu, ale bardzo pożyteczną pracę opatrzoną godłem J. J. G. (Brazylia).

Poza warunkami konkursu odznaczono specjalnym wyróżnieniem pracę oznaczoną godłem „Sotion" (Francja) za jej nieprzeciętne zalety literackie.

NAGRODY ODDZIAŁÓW WARTOWNICZYCH

W dniu 11 listopada odbyło się w Instytucie gen. Sikorskiego wręczenie nagród literackich ufundowanych przez polskie Oddziały Wartownicze w zonie amerykańskiej Niemiec.

Nagrody za całokształt twórczości pisarskiej po £ 50 przyznano pp. Wacławowi Grubińskiemu i Jerzemu Stempowskiemu (Pawłowi Hostowcowi). Nagrodę £ 50 za dzieło w najbardziej wyrazisty sposób obrazujące uczucia zbiorowe Polaków w ciągu ostatniego 10-lecia przyznano p. Kazimierzowi Wierzyńskiemu za zbiór poezji pt. „Krzyże i miecze". Nagrodę młodych również w wysokości £ 50 przyznano p. Januszowi Kowalewskiemu.

W skład jury pod przewodnictwem prezesa Zw. Pisarzy prof. S. Strońskiego wchodzili jako delegaci Zw. Pisarzy A. Bogusławski i T. Terlecki oraz jako delegaci Oddziałów Wartowniczych L. Bojczuk i J. Filipkowski.

Nagrody zostały ufundowane z drobnych składek członków Oddziałów Wartowniczych w Niemczech. Ich szczera troska o kulturę polską — stypendia akademickie, zbiórki pieniężne na szkolnictwo polskie, opieka nad inwalidami i chorymi — zasługuje na szczególne podkreślenie.

OBOWIĄZKI POLSKICH OBYWATELI

W poprzednim numerze zamieściliśmy oświadczenie Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego w sprawie wystąpienia p. Tadeusza Wyrwy. Obecnie notujemy, że oświadczenie to podpisał również Zarząd Główny Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Deklaracja podpisana przez dwie centralne polskie organizacje społeczne na uchodźstwie, tłumaczy w związku z tzw. sprawą Wyrwy obowiązki Polaków — obywateli Rzeczypospolitej znajdujących się z konieczności politycznej na wygnaniu.

WIECZÓR LWOWSKI

Tegoroczny Wieczór Listopadowy urządzony przez Związek Ziem Południowo-Wschodnich R. P. 22 ub. m. w Ognisku Polskim, ściągnął licznie przybyłych lwowian i kresowiaków. Z ramienia gospodarzy otworzył wieczór inż. M. Kolbuszowski, prezes zarządu Związku, przypominając bohaterską walkę lwowian o utrzymanie ich miasta przy Rzeczypospolitej.

Drugi mówca, red. M. Rojek przedstawił obszernie znaczenie geopolityczne ziem południowo-wschodnich dla całej Polski oraz podniósł ogromny wkład historyczny tudzież bogactwa kulturalne, jakie te ziemie wniosły do wielowiekowego dzieła cywilizacyjnego Polski na wschodzie. Wspominając o wysuwanych teraz pomysłach federacyjnych, których autorowie wypowiadają się za odłożeniem na później załatwienia spornych kwestii terytorialnych, red. Rojek przestrzegał przed tymi złudzeniami, utrudniają one bowiem jasne określenie na przyszłość warunków współżycia. Jest rzeczą niezmiernie ważną, byśmy na wypadek wojny z Sowietami mieli własny plan urządzenia stosunków politycznych na tym obszarze Europy, plan, który moglibyśmy przedłożyć na przyszłej konferencji pokojowej. Taki program nie może przewidywać Polski okrojonej na wschodzie, gdyż bez ziem wschodnich nie może istnieć Polska niepodległa.

W części artystycznej wieczoru poświęconego Lwowu w poezji i w pieśni, wystąpił p. L. Kielanowski z recytacją wiersza Maryli Wolskiej „Wierzę w Boga i Lwów", oraz szkicu Kornela Makuszyńskiego „Uśmiech Lwowa". P. B. Obertyńska wzruszyła do głębi słuchaczy swymi dwoma utworami poetyckimi. Lwów w piosence zaprezentowała z prawdziwym lwowskim temperamentem p. W. Majewska. W ten sposób podczas wieczoru zabrzmiały zgodnie dwie nuty poważna i wesoła splecione wspólnym rytmem wspomnień i nadziei, żyjącej w sercu każdego lwowianina czy to w kraju, czy na emigracji.

ZWIĄZEK ŻOŁNIERZY ZAWODOWYCH

W lutym br. powstał w Wielkiej Brytanii, z siedzibą w Londynie, Związek Polskich Żołnierzy Zawodowych (oficerów i podoficerów).

Celem związku, zgodnie z par. 4 statutu, jest „uchronić swych członków przed przedwczesnym wyniszczeniem psychicznym i fizycznym przez uzyskanie dla nich odpowiednich warunków bytu".

Zarząd związku wydał memorandum w języku polskim, w którym obszernie przedstawione zostały sytuacja tej kategorii żołnierzy po rozwiązaniu PKPR oraz podstawy roszczeń, jako materiał dla akcji związku.

Ostatnio wydane zostało memorandum w języku angielskim pod tytułem: „Fate in Great Britain of Former Members of the Polish Regular Army". Publikacja ta, mająca posłużyć do poruszenia anglosaskiej opinii, zwięźle argumentująca konieczność poprawy sytuacji, dotychczas właściwie nie rozwiązanej, — odpowiada w pełni intencjom wzmocnienia stanowiska związku w nawiązanych już kontaktach z rządowymi czynnikami brytyjskimi.

Podkreślić należy, że publikacja nie pomija krzywdy zadanej Polsce w wyniku ostatniej wojny, nie zapomina też o losie inteligencji w ogólnym problemie tzw. rozmieszczenia polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii.

Pracami związku kieruje płk pil. A. Kędzior, a sekretarzami są ppłk J. Machowicz i ppłk dypl. W. Mercik.

GWIAZDKA DLA CHORYCH

Z Komisji Koordynacji Opieki Społecznej otrzymaliśmy następujący apel:

Dorocznym zwyczajem Komisja Koordynacji Opieki Społecznej przy Zjednoczeniu Polskim w Wielkiej Brytanii organizuje akcję paczek gwiazdkowych dla chorych Polaków w szpitalach angielskich.

Organizacje polskie i polsko-angielskie zadeklarowały już swój udział w finansowaniu tej akcji, ale dopiero przy pomocy jak zawsze ofiarnego społeczeństwa polskiego będziemy w stanie obdarować wszystkich samotnych inwalidów i chorych, którzy już wiele świąt Bożego Narodzenia spędzili zdala od swoich rodzin i bliskich. Według obliczeń naszych musimy bowiem wysłać co najmniej 2.000 paczek.

Ofiary pieniężne i dary w naturze (słodycze, orzechy, bakalie, papierosy itp.) prosimy kierować na nazwisko sekretarza komisji: p. Anna Januszajtis, 34, Belgrave Square, London, S. W. 1.

Pamiętajmy o naszych chorych! Niech im smutne święta rozjaśni dowód naszej serdecznej pamięci i troski!

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

DUCH PRUSKI ODRADZA SIĘ

Szanowny Panie Redaktorze,

Podaję Panom dane dotyczące dwu ważnych prac polityczno-historycznych, które moim zdaniem zawierają kontury programu politycznego niemieckiego, jaki prawdopodobnie rozpocznie Adenauer głosić wobec Amerykanów, Anglików i Francuzów po wybuchu trzeciej wojny światowej. Są to prace: 1) Robert Ingrim: „Bismarck selbst". Die deutsche Verlagsanstalt, Stuttgart, 1950. 2) Edith Eucken-Erdsiek: „Grösse und Wahn. Drei Essays über Friedrich II, Napoleon I, Hitler". H. Laupp'sche Buchhandlung, Tübingen, 1950.

Mieszkając kilka już dobrych lat tutaj i poznawszy mniej więcej mentalność ludzi mówiących językiem niemieckim wydaje mi się, że tym razem „dobry Niemiec" dr Adenauer będzie próbował odegrać wobec nierozumiejących problemów Europy środkowo-wschodniej Amerykanów, obojętnych w gruncie rzeczy wobec tych zagadnień Anglików, oraz politycznie i ludnościowo słabych Francuzów tę samą rolę w ciągu prawdopodobnie nadchodzącej trzeciej wojny światowej, jaką odegrał już raz wobec Roosevelta i Churchilla „humanistyczny i pokój miłujący" Stalin w ostatniej wojnie światowej, a więc najpierw zdobyć zaufanie zachodu, a później i wolną rękę dla zorganizowania przez siebie, tzn. przez Niemcy, obszaru Europy środkowo-wschodniej.

Jak sobie zaś „dobrzy Niemcy" wyobrażają przyszły obraz polityczny tej części Europy pokazał to już dzisiaj dr Robert Ingrim w artykule wydrukowanym w „Salzburger Nachrichten", nr 245 (Der Angeklagte Bismarck hat das Worth): „...ale tylko nieliczni Francuzi mogliby być zdania, że rewanż się opłacił. Gdyby oni „przebaczyli Sedan", tak jak to im Bismarck proponował, — ile cierpień i nędzy oszczędziliby oni sami sobie... Mówię o roku 1919, o traktatach, które całkowicie odrzuciły zasadę równowagi sił, a o organicznym rozwoju niczego nie wiedziały. Niemcy — republika scentralizowana, w miejsce Austro-Węgier sztucznie i gwałtem stworzone państwa (Zwangsstaaten)! Z dzieł Bismarcka mogliby oni wyczytać, co z tego mogło powstać... Można rzec, że wszystko biegło zgodnie z programem, tak jak Bismarck to z grozą przeczuł".

A więc dr Ingrim oświadcza w r. 1950, że istotną przyczyną obecnego zagrożenia chrześcijańskiej Europy przez bolszewizm Stalina i Moskwy były nie światoburcze plany Hitlera i narodu niemieckiego, lecz przejście do porządku dziennego przez pobismarkowskie pokolenie polityków europejskich nad zasadami i myślami żelaznego kaclerza Niemiec, tego „ostatniego wielkiego męża stanu Europy". Dlatego też ratunek tej Europy widzi Ingrim w r. 1950 w powrocie do koncepcji politycznej Bismarcka, zdruzgotanej w traktacie wersalskim i w daniu przez mocarstwa zachodnie Niemcom dr Adenauera pełnomocnictw celem urządzenia Europy środkowo-wschodniej na wschód od Berlina i Wiednia.

Oczywiście w prasie i publicystyce Niemiec dzisiejszych zjawisko socjologiczno-polityczne, jakim był Hitler i jego rządy usiłuje się sprowadzić do działań garstki ludzi, psychicznie obłąkanych, nieodpowiedzialnych i co najważniejsze nie obciążających swymi aktami politycznymi hipoteki narodu niemieckiego (proces Falkenhausena w Belgii), żąda się powszechnie rehabilitacji wojska niemieckiego i jego dowódców od wyroków za dokonane zbrodnie wojenne, domaga się już całkiem jawnie zwrotu naszych ziem zachodnich, łącznie z przedwojennym Pomorzem, Śląskiem i Gdańskiem. Ubiera się to wszystko — jak na razie — w różne piękne słowa, programy, fotografie i wspomnienia o niesprawiedliwie skrzywdzonych po pierwszej wojnie światowej Wilhelmach II i Franciszkach Józefach, stawiając te historyczne postaci szerokim masom jako pierwsze hasła propagandowe. Publicystyka naukowa sięga już nieco dalej, gloryfikując program polityczny Bismarcka na wschód od Berlina i Wiednia (Ingrim), a nawet — jak robi to Eucken-Erdsiek, — przyznaje palmę prawdziwej, europejskiej wielkości historycznej spośród wszystkich mężów stanu Europy jedynie Fryderykowi II pruskiemu. Na seminariach uniwersyteckich historii nowożytnej (nawet w Austrii) głoszą profesorowie również ex catedra renesans polityczny koncepcji i programu pruskiego Bismarcka.

Wychodząc z założenia, że w momencie wybuchu trzeciej wojny światowej między Moskwą a Waszyngtonem cała energia emigracji polskiej winna się zwrócić tym razem na otwieranie oczu politykom anglosaskim na niebezpieczeństwo i groźbę powtórzenia przez nich błędów politycznych Jałty, Teheranu i Poczdamu na korzyść Berlina, skreśliłem dzisiaj kilkanaście słów spodziewając się, że zespół Panów, jako ośrodek polityczny, będący kontynuatorem programu politycznego R. Dmowskiego dostrzega groźbę, jaka nadciąga na nasze ziemie tym razem ze strony zachodu, w wyniku odradzającego się nacjonalizmu niemieckiego i pruskiego programu polityki zagranicznej naszego zachodniego sąsiada.

Z poważaniem

Jan Tymieniecki
Innsbruck

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.

Printed for „Myśl Polska" by „Veritas Foundation Press", 12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD 9734. December 1 1950